

BOLESŁAW TRONSKI

Pierwsze pismo marksistowskiej partii

Zaledwie od paru miesięcy pojawiło się pismo, które naszych interesów broni, które ma nam wytknąć drogę ku lepszej doli robotnika, ma nas prowadzić do międzynarodowej rewolucji socjalnej — czytamy w odezwie pierwszej marksistowskiej partii ruchu robotniczego w Polsce „Proletariat”. Pismo, o którym mówi odezwa, dotyczy pierwszego numeru gazety „Proletariat” organu partii, które ukazało się 15 września 1883 roku i było od Powstania Styczniowego pierwszą nielegalną gazetą drukowaną w Warszawie.

Pojawienie się pisma „Proletariat”, w warunkach wzmoczonego

W 80 ROCZNICĘ UKAZANIA SIĘ „PROLETARIATU”

ucisku carskiego zaborcy — głównej w owym czasie twierdzy kontrrewolucji — wyzysku rodzimej burżuazji sprzymierzonej z zaborcą na gruncie nienawiści do sił postępu i rewolucji — wywołało w owym czasie ogromne wrażenie. Z jego łamów rozległ się głos partii nawołującej do walki przeciwko caratowi, swoim i obcym kapitalistom; głos nawołujący do jednoczenia walki o wyzwolenie społeczne z walką o wyzwolenie narodowe. Do setek tysięcy ludzi przemówił, w wielu przypadkach po raz pierwszy, program partii stojącej na gruncie naukowego marksizmu i odcinającej się w sposób zdecydowany od utopijnego socjalizmu. Program wysunął m. in. żądanie, „aby ziemia i narzędzia pracy przeszły z rąk jednostek na własność pracujących, na własność socjalistycznego państwa”.

Redagowanie pisma „Proletariat” było przejawem ogromnej żywotności wydawniczej partii, która organizuje własne drukarnie w kraju, (dotychczas literatura partyjna przychodziła z zagranicy), aby móc szybko reagować na ważniejsze wypadki dnia, aby lepiej kierować walką proletariatu polskiego.

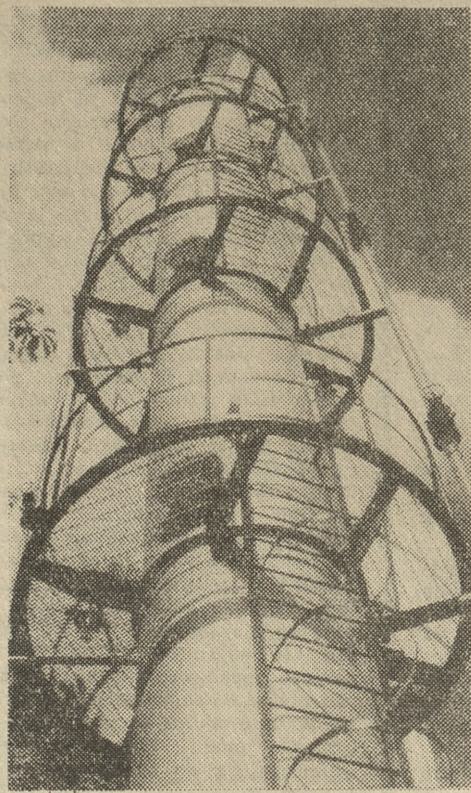
Trudna i niebezpieczna była praca w konspiracyjnych drukarniach. Opisał ją w swoich wspomnieniach jeden z wybitnych proletariatyckich, Feliks Kon. „Techniczno-konspiracyjne mieszkania właśnie dlatego, że w nich znajdowały się drukarnie, zecernie itd. — pisze Kon — były strzeżone przez nas jak oko w głowie... Pewnego dnia na schodach rozległy się czyjeś kroki. W jednej chwili wał drukarski został zatrzymany. Wyciągamy rewolwery. Opróżniamy kieszenie, by w jednej chwili zniszczyć dokumenty... Czekam... Bez boju drukarni nie oddamy”.

Ogółem wyszło drukiem pięć numerów „Proletariatu”, ostatni 1 maja 1884 roku. „Proletariat” zapoczątkował niejako krajową działalność prasy partyjnej, która od owych dni poprzez lata międzywojenne i okupację hitlerowską przeszła różne koleje losu. Zawsze jednak z tą samą bojowością i wiernością czerwonym sztafardom walczyła o urzeczywistnienie idei, biorąc przykład z twórców „Proletariatu”.

Prasa partyjna doczekała się dziś swego rozkwitu, miliony egzemplarzy docierają do najodleglejszych zakątków. W zmienionych warunkach, w niepodległym, budującym socjalizm kraju, — prasa partyjna — niosąc w masę słowa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — nawiązuje do szczytnych tradycji pisma „Proletariat”.

FRANCISZEK SAMBORSKI

Rynkowy sens targowego tuzina



Fot. — K. Przychodzki

Na pierwszych Targach Krajowych, „Wiosnie 1958” zaofiarowano towary łącznej wartości jednego miliarda złotych. Na szóstych Targach z kolei, „Jesieni 1960”, wartość towarów doszła do 13,5 miliarda złotych. Na tegorocznej „Jesieni 1963”, dwunastych z kolei Targach Krajowych, oferta sięga 25 miliardów złotych. Znaczenie i rola tego dwukrotnego w ciągu roku rendez-vous wytwórców i handlowców wykracza jednak daleko poza imponującą zresztą wymowę liczb.

W sytuacji, kiedy w wielu branżach istnieje pełne, lub zadowalające zaopatrzenie rynku, kiedy handel i producent zaczynają coraz lepiej rozumieć, że po to, aby towar był sprzedany, raczej musi mieć w ostatecznym rachunku klient — nie

chodzi wcale o to, żeby wszystkie towary, reprezentowane na Targach znalazły natychmiast zbyt. Mobilizującym czynnikiem mają być Targi m. in. przez to, że uznanie handlu i zbyt znajduje to, co najlepsze. To, co odpowiada aktualnemu zapotrzebowaniu odbiorców. To, co uwzględnia zmiany zachodzące w ich gustach i upodobaniach.

Powie ktoś: „No tak, ale są przecież branże, gdzie mamy jeszcze do czynienia z niedoborem towarów. I tam takie zaopatrzenie jest nierealne!” I nie będzie miał racji. Albowiem w takim przypadku, gdy produkcja jakiegoś artykułu nie jest jeszcze dostateczna np. z powodu trudności surowcowych, to starania handlu i wytwórców muszą iść w dwóch kierunkach: zwiększenia produkcji i równoczesnego pojożenia

nacisku na to, aby posiadany surowiec był jak najlepiej i najracjonalniej wykorzystany. Zeby z tego deficytowego surowca wykonano jak najlepsze towary, żeby się nie marnował w postaci np. towaru III gatunku, lub niemodnego artykułu.

Targi Krajowe są imprezą specjalnego typu. Na każdym stoisku spotykają się tu opinie wielu zainteresowanych stron: klientów indywidualnych, handlu, plastików, projektantów, producentów itd. Istota sprawy sprowadza się do postulatu, żeby handel, w oparciu o możliwości jak najszerszebronnij zbadane potrzeby rynku potrafił je właściwie przedstawić przemysłowi, przemysł zaś — żeby umiał wysłuchać tych żądań i wyciągnąć z nich właściwe wnioski dla swojej działalności.

Wiele sprzeciwów wypowiedziano poprzednio w sprawie dopuszczenia do udziału w Targach Krajowych tych prototypów i modeli, które zostały specjalnie wykonane na pokaz i nie miały żadnego pokrycia ani w towarowej rzeczywistości, ani nawet w zamiarach wytwórców. Zwrócono wobec tego producentom uwagę na niedopuszczalność takiego postępowania. Niektórzy obrazili się, oświadczyli, że w takim razie zmniejszą udział swojej ekspozycji. I zmniejszyli. Ale w ten sposób znalazła się na Targach masa rzeczywiście towarowa, a nie eksponatowa. A że sam towar musi być coraz lepiej dostosowany do tego, czego sobie życzy klient — to zaczynają rozumieć i sami wytwórci. Mają zresztą w tym względzie dodatkowe bodźce materialne, wśród których największe znaczenie posiada podjęta niedawno uchwała Rady Ministrów w sprawie nowego systemu premiowania pracowników przemysłu i uzależniająca wysokość tych premii od wywiązania się z umów zawartych z handlem.

Niejedną raz uczestniczyli też w Targach tacy wystawcy, którym udało się sprzedać towar już przed Targami, a do Poznania przyjeżdżali tylko po to, aby się pokazać. Tych również wyeliminowano ze spotkań wytwórców z handlem.

Oczywiście Targi Krajowe, to nie tylko nacisk na przemysł, wywierany w celu zmuszenia dużych i małych zakładów do unowocześniania

i uatrakcyjniania produkcji. To również nacisk na handel. Zbyt często zdarza się jeszcze, że przedsiębiorstwa i centralne handlowe nie umieją prawidłowo określić szacunku spodziewanego popytu na poszczególne artykuły. Mimo, że utworzono już — nie dość co prawda jeszcze precyzyjny — system badania rynku, że założono sieć sklepów korespondentów, które mają zbierać opinie klientów o towarze, że działa duża sieć akwizytorów handlowych, że wprowadza się już na pewną skalę ekonometryczne metody badania popytu — handel jest często jeszcze bezradny. Najgorzej dzieje się pod tym względem z tymi towarami, o które chodzi nam najbardziej — z nowościami produkcyjnymi. Dlatego bardzo słusznie czyni Ministerstwo Handlu Wewnętrznego, uważając za jedno z najważniejszych obecnie zadań pogłębienie metod badania potrzeb rynku, zwiastująca przez szerokie badania ankietowe, co w wielu branżach zapoczątkowane zostanie na masową skalę właśnie na XII Targach Krajowych.

Handel musi być również bardziej wymagający. Nie mogą zdarzać się będące dziś na porządku dziennym przypadki, kiedy przedsiębiorstwa handlowe przyjmują od przemysłu towar nie zamówiony, lub zamówiony w o wiele mniejszej ilości, godząc się za to na ograniczanie dostaw niektórych innych zamówionych przez siebie, niezwykle potrzebnych artykułów. Jednym z niezwykle charakterystycznych przykładów może być sprawa skądinąd „Arge”, który w zeszłym roku zgodził się na dostawę 60 procent zamówionych przez siebie, poszukiwanych w sklepach łyżek czerpakowych, otrzymując w zamian 170 procent misek emaliowanych, które i bez tych nadmiernych dostaw nie trudno nabyć.

Dwa razy w roku następuje spotkanie handlowców i producentów. Jest to także okazja, aby ujęcie znalazło wypowiedzenie wszelkich wzajemnych pretensji, aby wspólnie szukano coraz lepszych form obsługi rynku, aby lepiej poznano potrzeby klientów i możliwości ich zaspokojenia. Taki jest rynkowy, a więc nie tylko ekonomiczny, lecz również społeczny — sens Targów Krajowych.

WIKTOR NOWICZ

Adenauer w Watykanie

Bońskie doniesienia prasowe, podając informacje o audiencji Adenauera u papieża Pawła VI w dniu 17 września br. podkreślały, że podobnie jak spotkanie kanclerza z prezydentem Segnim i premierem Leone (18-go) i jak zamierzona wizyta u de Gaulle'a na zamku Rambouillet (21-go) również i wizyta w Watykanie ma charakter „ściśle prywatny” i jest po prostu „wizytą pożegnalną” przed udaniem się kanclerza na zasłużony odpoczynek.

Panuje jednak raczej powszechne przekonanie, że Adenauer pragnie Pawłowi VI (i nie tylko jemu) powtórzyć, być może teraz w nieco zmodyfikowanej formie, to co w swoim czasie powiedział jego poprzednikowi, Janowi XXIII (w czasie spotkania 22 stycznia 1960 r.) i co wywołało tak silne poruszenie w całym świecie. A właśnie wówczas dał Adenauer wyraz przeświadczeniu, że „w tych burzliwych czasach Bóg powierzył narodowi niemieckiemu specjalne zadanie — aby był strażnikiem Zachodu, przeciwko wszelkiemu potężnym wpływom ze Wschodu.”

Adenauer usiłował uzyskać wówczas w Watykanie poparcie dla dążeń rewizjonistycznych; wiele mówił o „krzywdach” i „niesprawiedliwościach” i prawie Republiki Federalnej do polskich ziem zachodnich; powoływał się na zrozumienie, któremu tak często dawał wyraz Pius XII...

Po owej wizycie, konserwatywne sfery watykańskie przystąpiły do ożywionej akcji popularyzującej osobę kanclerza i reprezentowane przez niego cele polityczne.

W NRF następowały wówczas jedna za drugą manifestacje o charakterze pozornie religijnym, przeprowadzone w istocie pod znakiem rewizjonizmu. Wystąpienia kardynałów niemieckich — pozornie pokojowe — nie ukrywały jednak, że „niemieckie terytoria wschodnie nie będą zapomniane” i „nastąpi chwila, kiedy sprawiedliwość zatriumfuje”.

I oto kiedy wydawało się, że zalewająca NRF fala szowinizmu, znajdującą wyraz w hasłach odwetowych, cieszy się powszechnym poparciem w Watykanie — na trzy dni przed otwarciem Soboru, 8 października 1962 r. — rozległ się głos papieża Jana XXIII, który na prywatnej

audiencji biskupów polskich (w związku z wniesionym we Wrocławiu pomnikiem dla uczczenia pamięci pułkownika Nullo) określił Wrocław jako miasto „na ziemiach zachodnich po wiekach odzyskanych”. Wrażenie tych słów w NRF było wprost piorunujące. Nastąpiła interwekcja ambasadora NRF przy Watykanie i z kolei ze strony dyplomatów watykańskich — unik, polegający na twierdzeniu, że wypowiedź papieża miała charakter „ściśle prywatny”.

Odpowiedź ta nie zadowoliła katolickich kół zachodnoniemieckich o orientacji nacjonalistycznej. Nie tylko w jawnie odwetowej „Nationalzeitung”, ale i w „Die Welt” pojawiły się artykuły atakujące z niesłychaną brutalnością Jana XXIII. Było to na krótko przed jego zgonem.

Po śmierci papieża dla chadeckich polityków sprawujących rząd w NRF nabrało szczególnego znaczenia pytanie w jakim kierunku pojdzie jego następca.

Paweł VI, wytrawny dyplomata, zachowuje pełne pościągłości milczenie zarówno w kwestii rozszerezeń terytorialnych NRF, jak i w stosunku do polskich ziem zachodnich, w kwestii obfitującej, jeśli chodzi o Watykan, w liczne zygaki.

Jak dotychczas nie zdobył się na potępienie wystąpień katolickiego episkopatu niemieckiego, manifestującego dosyć często swoje „gorące uczucia patriotyczne” na licznych zjazdach tzw. „ziomkstw” otwarcie domagających się rewizji granic.

Co więcej, niedawno, z okazji kongresu tzw. „Kościoła w niedoli”, który odbył się od 2 do 6 sierpnia br. w Koenigsstein — Taunus przy udziale szeregu oficjalnych osobistości reprezentujących rząd Bawarii i katolicką partię CSU, papież Paweł VI za pośrednictwem sekretarza stanu kard. Cicognaniego, przysłał pozdrowienia dla kongresu. Błogosławieństwo apostołskie przekazał papież również dorocznemu kongresowi katolickiej organizacji przesiedleńców z Czechosłowacji, odbytemu w sierpniu w Fuldzie, na którym wiele mówiono o konieczności rozwiązania „spornych problemów z Polakami i Czechami”.

Otóż zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że Adenauer udaje się na audiencję do Watykanu, aby m. in. mówić o tych sprawach. Jedzie wyposażony w mandaty najwyższych duchownych katolickich w NRF, którzy wykorzystują swoje, bardzo ciągle jeszcze poważne, chociaż już nie w takim stopniu jak za życia Piusa XII, wpływy w Watykanie, aby przeciągnąć ten ośrodek, również i polityczny, na swoją stronę.

CZESŁAW CHRUSZCZEWSKI

KOLUMBOWIE KOSMOSU

Spotkałem go na ulicy. Był wyraźnie podekscytowany.

— Przeczytałem — powiedział z ciężkim westchnieniem — artykuł o podróżach kosmicznych. Autor, na oko poważny człowiek, pisze, że wcześniej czy później możemy spotkać we wszechświecie istoty rozumne, że istnieje teoria o lądowaniu na naszej planecie kosmonautów z innych układów słonecznych, że być może należymy do jednej z wielu cywilizacji rozrzuconych na różnych galaktykach. Czyste szaleństwo. O, tutaj — wy-szarpnął z kieszeni kartkę papieru — ułożyłem listę pytań, jakie nasunęły mi się w czasie czytania tego artykułu. Wdzięczny będę za szybkie zredagowanie odpowiedzi. Panie, zna pan hasło: dbajmy o swoje zdrowie. Od tygodnia budzę się w nocy z krzykiem: — Marsjanie ante portas! Do widzenia...

W trosce o system nerwowy współczesnego człowieka, którego

wytrącała z równowagi współczesna publicystyka kosmiczna przystąpiłem do zredagowania felietonu. Staram się, w miarę swoich skromnych możliwości odpowiedzieć na niektóre pytania.

Na wstępie kilka słów o budowie wszechświata. Słońce, które z krążącymi dookoła niego dziewięcioma planetami, tworzy układ słoneczny — jest jedną ze stu miliardów gwiazd, tworzących olbrzymie środowisko w kształcie dysku, zwane galaktyką. Poza naszą galaktyką krąży w pustce kosmicznej inne wszechświaty, inne galaktyki. W każdej z nich znajdują się mogą układy słoneczne, podobne do naszego, a więc miliardy gwiazd i dziesiątki miliardów planet.

Przyjmując, że tylko jedno słońce na tysiąc posiada układ planetarny, dojdziemy do wniosku, że w naszym wszechświecie istnieje około 100 milionów układów planetarnych. Trudno przypuścić, aby nie było między nimi takich planet, na których życie byłoby możliwe.

Współczesna astronomia utwierdziła nas w przekonaniu, że sytuacja Ziemi we wszechświecie nie jest ani wyjątkowa ani specjalnie uprzy-

wilejowana. Uważamy się za panów tej planety, ale absurdem byłoby przeświadczenie, że nie mamy żadnych rywali i jesteśmy wyjątkowym i niepowtarzalnym zjawiskiem — czy to w kosmosie, czy nawet w naszej galaktyce.

Porównajmy okres istnienia ludzkości z wiekiem gwiazd: plus minusz dwa miliony lat, i lata liczące się miliardami miliardów... Wniosek oczywisty sam się nasuwa: rasa ludzka należy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do najmłodszych ras wszechświata.

Uczeni powiadają tak: jeśli uwierzmy, że życie we wszechświecie jest naturalnym zjawiskiem, a nie schorzeniem, któremu ulega jedna, czy też dwie planety z gatunku Ziemia, Venus, Mars — dojdziemy do przekonania, że muszą egzystować w kosmosie rasy istot starszych i o wiele bardziej od nas rozwiniętych.

A dlaczego w takim razie do tej pory Kolumbowie kosmosu nie odkryli Ziemi? Na to pytanie można odpowiedzieć drugim pytaniem. Skąd ta pewność, że taka wizyta kiedyś nie miała miejsca... albo, że kiedyś nie nastąpi...

Rakieta startująca z Ziemi z szybkością 24 km na sekundę, opuści układ słoneczny z szybkością 17 km na sekundę. Podróż do najbliższej gwiazdy Proxima Centauri trwałaby około 70 tysięcy lat. Nasi starsi i mądrzejsi bracia podróżują zapewne szybciej, jeśli reprezentują wyższą cywilizację. Być może, iż wylądowali na naszej planecie w epoce, gdy jedynymi gospodarzami Ziemi były pająki i gady. Być może, iż odwiedzali nas i w późniejszych okresach.

W 1886 roku, w pobliżu Salzburga, w pokładzie węgla z trzeciorzędów, znaleziono stalowy prostopadłościan o wadze 785 gramów. Kto przyniósł na prądową Ziemię dzieło rąk wykwintowanego pracownika? W wąwozach wzgórz na Saharze natrafiono na niezwykle malowidła. Przybliżony czas ich wykonania ustalono na okres między ósmym a szóstym tysiącleciem przed naszą erą. Zdumiewające, że wszystkie dwunogie, wyprostowane postacie, mają na głowach okrągłe hełmy. Sześciometrowy rysunek przedstawia istotę w stroju, przypominającym skafander współczesnego kos-

Dokończenie na str. 2

Ekonometria, programowanie matematyczne, cybernetyka. Zalewa nas potok nowych słów. Coraz ich więcej na łamach prasy, w radio, w telewizji. Co one właściwie znaczą?

— To nowe gąszcz nauki — mówi dr Tadeusz Kasprzak, pracownik katedry ekonomii politycznej prof. Oskara Langego. — Ekonometria, na przykład to małżeństwo ekonomii, statystyki i matematyki...

— Trójkąt, chciał pan powiedzieć! Ale czemu on służy?

— Zaczynamy od początku! Słyszała pani o badaniach operacyjnych? Nie. To właśnie one stały się pomostem łączącym naukę z praktyką. Miało to miejsce w czasie drugiej wojny światowej. Zaczęto wówczas po raz pierwszy rozwiązywać praktyczne kwestie zarządzania — metodami ścisłej matematyki. Nazwano to właśnie programowaniem matematycznym. Matematyka rozstrzygała, jak zmaksymalizować funkcję, w warunkach pobocznych ograniczających...

— Hola, hola! Niech pan to przetłumaczy na język zwykłych śmiertelników!

— Zgoda. Weźmy, na przykład, model transportu. Jest konwój morski, który w warunkach wojny ma za zadanie przewieźć przez Atlantyk pewne towary. Powstaje problem, jak należy ów konwój uformować, by zmniejszyć niebezpieczeństwo. Można powiększyć liczbę osłaniających okrętów wojennych, ale wówczas czas przepływu, a zatem czas narażenia na niebezpieczeństwo, bę-

Na przykład konwój morski...

dzie dłuższy. Można osłone zmniejszyć, ale wówczas automatycznie zmniejszy się siła obronna konwoju. Otóż te i podobne problemy zaczęto w czasie wojny rozwiązywać za pomocą metod matematycznych, które ustalały, jakie rozwiązanie w danych warunkach będzie najkorzyst-

TROJKĄT MAŁŻEŃSKI EKONOMII, STATYSTYKI I MATEMATYKI

niejsze. W ten sposób nauki takie jak ekonomia i matematyka zaczęły służyć najbardziej praktycznym celom.

— A właśnie... Czy badania operacyjne znajdują również zastosowanie w gospodarce pokojowej?

— Jak najbardziej. Z krajów socjalistycznych stosuje się je powszechnie w Związku Radzieckim i na Węgrzech.

— A u nas co się robi w tym kierunku?

— Wiele. Po raz pierwszy, właśnie w Polsce, na konferencji Naczelnej Organizacji Technicznej, wysunięto projekt rozwiązań transportowych w oparciu o model matematyczny. Poza tym istnieją specjalne Rady Naukowe przy Prezydium Rad Na-

rodowych dla województw warszawskiego i katowickiego. Rady te realizują wpływ naukowego punktu widzenia na podejmowanie wszelkich decyzji: inwestycyjnych, finansowych, organizacyjnych. Istnieje ponadto Dział Ekonomiczny w Centrum Obliczeniowym Polskiej Akademii Nauk. Koledzy mają tam pełne ręce roboty. Na zamówienie zjednoczeń branżowych, wypuszcza się programy matematyczne jak bułki z pieca.

— Ale czy udział nauki w podejmowaniu decyzji w zakresie zarządzania przedsiębiorstwami ma u nas jakąś ściśle określoną formę?

— Otóż nie! Jak dotąd ma to jeszcze charakter indywidualny. Nie dlatego, że są jakieś spory czy zastrzeżenia co do przydatności metod naukowych. W to już dziś nikt nie wątpi. Ale nie wypracowano jeszcze formy instytucjonalnej, która by te sprawy generalnie regulowała.

— A jak, pana zdaniem, powinno być to rozwiązane?

— Proponowałbym stworzenie grup doradców naukowych. Jako personel stały, w skład grupy wchodziłby ekonomista i matematyk, a każdorazowo, w zależności od specyfiki rozwiązywanego problemu, dobierano by socjologa, psychologa, prawnika czy inżyniera.

— Czy podobna współpraca nauki z zarządzaniem ma również miejsce w krajach kapitalistycznych?

— Oczywiście. Ale tam naukowiec ma zadanie uproszczone. Bierz pod uwagę wyłącznie dobro przedsiębiorcy, który mu robotę zleca: „Pan dyrektor sobie życzy, sługa uniżony!” Inaczej u nas, gdzie dobro przedsiębiorstw jest uwarunkowane ogólnym interesem społecznym. Kompleks czynników składających się na decyzję jest w tych warunkach znacznie różnorodniejszy i bogatszy, a zatem trudniejszy.

— Ale za to rezultat służy nam wszystkim.

Rozmawiała: EWA BERBERYUSZ

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Mały format — „duża” wystawa

Znowu ciekawa wystawa. Później archiwalna — medaliersiwo kojarzy się nam ze starożytnymi monetami, kunsztownymi plakietkami z czasów renesansu, czy też medalami, których tak wiele przyniosło nam ostatnie stulecie. Tymczasem i do tej dziedziny sztuki dołączyła współczesność, choć nie huraganem reform burzących wszystko co stare, ale z dużą kulturą, kobiecym wdziękiem i swobodą, jaką dawać może tylko świetność warsztatu. W ogóle medaliersiwo jest sztuką dla kobiet. I one najlepiej ją czują. Zofia Demkowska jest adiunktem i kierownikiem pracowni medalierskiej na Wydziale Rzeźb Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Jest rzeźbiarką i historyczką sztuki, należy do władz międzynarodowego stowarzyszenia miłośników starego medaliersiwa — FIDEM i do odnowicieli jego tradycji w plastyce współczesnej. Wystawiła swe prace na wszystkich większych wystawach krajowych i zagranicznych. Ma poza sobą wystawę indywidualną w „Zachęcie” w 1958 r. i w Paryżu w 1960 r. Do Poznania przywoziła około

Przegląd ten zaczęć od dwóch rarytasów Piw-owskich, by nie zginiły tymczasem z połtek księgarskich. W pięknej serii monografii artystycznych ukazała się praca „Coubert w oczach wianyszy i w oczach przyjaciół”, w opracowaniu Pierre Courthona. Tym razem nie jest to monografia w dosłownym znaczeniu, ale wybór z pism i korespondencji Couberta, jego przyjaciół i krytyków. Treść kompozycja temu zezwala na odwołanie w wyobraźni czytelnika arcy-ciekawej postaci przywódcy realistów francuskich w malarstwie, głosiela hasła „szlaki żywej”, bezpośrednio służącej człowiekowi. Książkę, jak zawsze w tej serii, wzbogacają liczne reprodukcje prac artysty. Drugim rarytasem jest kolejna pozycja serii o dziejach kultury, tym razem Marcelina Dejourneaux „Życie codzienne w czasach Joanny d'Arc”.

Wszystkie pozycje tego cyklu uważam za najciekawsze i najwartościowsze poznawczo z tych, które się ukazały w ostatnich latach. Podziw też budzi graficzna oprawa poszczególnych tomów. Dejourneaux nie ogranicza się do strony wyłącznie kultury materialnej, wnika w tło spraw politycznych, społecznych, obyczajowych, sławiając panoramiczny okres „jesieni średniowiecza”, przy tym przybiera spokojny, refleksyjny ton narracji, ale przez ten pozorny spokój obraz epoki gwałtów, krzywoprzysięstwa, wojen i buntów rysuje się, jeszcze pełniej. „Ossolineum” w kolejnym tomiku Biblioteki Narodowej przekazało w przekładzie i opracowaniu Zofii Romanowiczowej antologię liryki staroprowansalskiej „Brewiarz miłości”. Można naprawdę zachłysnąć się urodą tekstów śpiewanych przez trubadurów, swoistą maestrią słowa, zwiewnością porównań, zarem opiewanej miłości. Zgasta ta poezja pod koniec XIII wieku, zmieciona z powierzchni przez inkwizycję. Niewiele przekazów jej pozostało, ale i te, którymi można się delektować, każą wiele myśleć o sziuce, żywej przez wieki.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Z najnowszych przekładów

W „Czytelniku” spoikamy się z dwoma ciekawymi pozycjami, i, co przyjemnie, przyswojonymi nam przy niemałym wkładzie poznawczym literatury. Tomik opowiadań **Kobierla Musia** (wydany w serii Nike) „trzy kobiety”, zapoznaje czytelnika polskiego po raz pierwszy z twórczością wybitnego pisarza austriackiego, który rozgłoszysk dopiero po śmierci. Kzeczowy, jasny wśręp Ego-na Naganowskiego informuje bliżej zarówno o samym Musilu, jak i o szczególnych cechach jego twórczości. Zawarte w tomie trzy miernie skomponowane nowele, zaskakujące głębią psychologiczną, uderzają — razem swoisim tonem niedosytu, cichej gorzkości, wynikającej ze świadomości niespełnienia każdej prawdziwej miłości. Przy tym nowele nie poszerzają się o całą rozległą problematykę ludzkiego losu w najroznorodniejszych jego aspektach. Jedno pewne, że z musiem trzeoza się zapoznać. Drugą książką, którą otrzumujemy w przekładzie Ireny i Ego-na Naganowskich, jest powieść „**Kot i mysz**” Guniera Grassa, jednego z najciekawszych przeuświadczeń młodych pisarzy niemieckich z NKF. Akcja utworu rozgrywa się w okresie wojennym w Gdansk, ukazany barazo realizmizm. Bohater Manke, przechodzi wielką próbę dojrzalności. Z próby tej nie wychodzi zwycięsko, zreszają autor świadomie konczy niedomowieniami. Inieresujące jest w tej ciekawej książce zaiascynowanie Grassa polskością.

Na zakończenie cnciałym zasynalizować wszystkim kompleującym dzieła **Dostojewskiego**, że w Piw-ie ukazał się nowy tom, mianowicie „**Białe noce**” i inne opowiadania, pochodzące z lat 1848—1859. Powoli zaiem zbliżamy się do końca tak pieczołowicie i starannie przygotowywanej przez Pawła Henza edycji.

Wystawa ciekawa, warta obejrzenia. Oryginalna już chociażby przez sam wybór techniki. Mały format, ale „duża” wystawa.

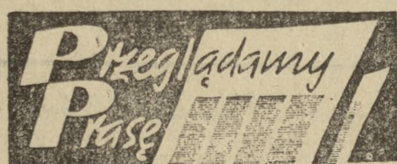
PLASTYKA

robku rzeźbiarki od czasów studiów szkolnych w pracowni prof. T. Breyera, aż po ostatnie z 1963 r.

Autor świetnego wstępu do katalogu wystawy Lech Grabowski rozróżnia trzy okresy w twórczości rzeźbiarki. Linie graniczne wyznaczają sprawy warsztatowe — środki wyrazu. W pierwszym okresie najistotniejszy jest realizm rysunek, w drugim — malarskie działanie sfaldowanej powierzchni reliefu, wreszcie w ostatnim zaślepianie reliefu kreską. W każdym z tych okresów powstały rzeczy piękne, chociaż najwięcej ich znalazłem wśród prac z lat

pięćdziesiątych. Spośród najwcześniejszych najlepsze są świetne rysunkowo płaskie, wyruszające się z gładkiego tła — plakaty z portretem Hani, postacią siedzącej staruszki i dziećmi. Mają one perfekcję rysunków H. Grunwald i delikatną wypukłość reliefu, który chce się dotknąć, sprawdzić. W latach następnych powstały najlepsze prace rzeźbiarki: „Pani z różą” z 1955 r., „Portret malarki”, „Głowa dziewczynki”, „Kobiety bułgarskie” i dwie uroczyste miniaturowe mariwe natury. Prace z ostatniego okresu są już trochę słabsze — przeładowane. Zofii Demkowskiej nic już nie sprawia trudności, rozciąga obraz na całą powierzchnię medalionu, wprowadza ornamenty kreskowe i linie wypukłe. Niektóre prace są już zbyt skomplikowane technicznie i zatracają prostotę i urok, który był jedną z najistotniejszych wartości jej medalionów. Oczywiście i wśród tych ostatnich prac wiele jest rzeczy znakomych jak: „Portret pani w kapeluszu”, „Paryska kwiaciarnia” czy oryginalna odmiennością swej techniki „Wielkanoc”.

Wystawa ciekawa, warta obejrzenia. Oryginalna już chociażby przez sam wybór techniki. Mały format, ale „duża” wystawa.



MIEDZY ŁAKĄ A ŁADĄ SKLEPOWA

Józef Śmietaniński pod takim właśnie tytułem pisze w „Polityce” na temat niełatwych spraw rolnictwa. W obszernej artykule uzasadnia, że o tym, czy i jak duży przysłówowy kołofon schabowy otrzymamy na stół, decyduje bardzo wiele czynników. Autor stwierdza: w 1961 r. wzrost konsumpcji mięsa wynosił w Polsce w porównaniu ze średnią przedwojenną 250 proc. mleka — 40 proc., jaj — 30 proc.; w latach 1950—62 ludność Polski wzrosła o blisko 6 mln. W porównaniu do okresu przedwojennego pogłowię trzody wzrosło o 70 proc., a w hodowli bydła osiągnęliśmy dopiero poziom przedwojenny. Duży wzrost hodowli trzody (i jeszcze większe — spozycja) pociągnął za sobą konieczność spasania ogromnej ilości zbóż i ziemniaków — stąd konieczność importu ziarna i potrzeba rozwoju fabryk pasz. Sytuację tę częściowo poprawić może wzrost pogłowia bydła (nie wymaga dużych nakładów, produktów zbożowych) bez zmniejszania liczby świń. Wszystko to jednak nie rozwiąże cał-

kowie naszych trudności. Dlatego — zwraca uwagę autor — potrzebne jest ogólne preferowanie

„konsumpcji artykułów przemysłowych w ramach grupy produktów żywnościowych, wzbogacanie zaopatrzenia rynku w substytutu zastępujące mięso, nieustępujące im pod względem jakościowym, ale dostępniejsze relatywnie pod względem cenowym. Do takich artykułów należy zaliczyć produkty mleczarskie, ryby i przetwory rybne, produkty białkowe pochodzenia roślinnego”.

GRANICE INGERENCJI

Inspekcja pracy. Przychodzi kontroler, który dla podniesienia własnego walego autorytetu, zaczyna od wyliczania znajomości aż hen, w Warszawie. Daje do zrozumienia, że z nim żartów nie ma. Inny zaczyna tak: — Ja właśnie z N., gdzie dwóch pana kolegów oddałem do prokuratora, a teraz zobaczmy, jak u pana... Te dwa przykłady zaczerpnąłem z felietonu **Walde-mara Babinicza**, który w „Kulturze” podnosi problem wypracowania systemu kontroli, opartego na szacunku i zaufaniu do człowieka. Przeciwsławiając cyfrowym tu postawom przykład pozytywny — autor pisze:

„Pewnego dyrektora departamentu, który objeżdżał głębokie zaplecze podjezwano, iż jest „podrobionym dyrekto-

rem”, bo rozmawiał, jak człowiek z człowiekiem i na miejscu załatwiał bieżące sprawy, te mało ważne, nie mieszczące się w żadnym okólniku”.

Wniosek końcowy:

„Jeżeli mówimy, że trzeba nam mądrych, uspołeczniczonych, wysoce ideowych nauczycieli, lekarzy, inżynierów, techników, to czas najwyższy, abyśmy te same przynajmniej wymagania stawiali naszej administracji. Czas najwyższy, abyśmy wychowali mądrych, kulturalnych urzędników, wprowadzali własny system inspekcji działalności ludzi, tworzących nowe dobra poza stolicą, w kraju”.

UKRYTE REZERWY

Tak określić można dwa zbieżne problemy, poruszone przez „Życie Gospodarcze” (autorzy **A. Domacewicz** i **S. Gulowski**) i „Tygodnik Demokratyczny” (**M. Szejpert**). „Życie Gospodarcze” pisze:

„Na załatwienie spraw osobistych człowiek powinien poświęcić czas poza normalnymi godzinami pracy. Rzeczywistość wygląda nieco inaczej”.

Czas pracy zamyka się w godzinach

7—16, a różne warsztaty usługowe lub urzędy otwarte są (przykłady z Białegostoku, ale znaleźć ich można w wielu innych miastach) prawie w tych samych godzinach:

„Administracje budynków mieszkalnych przyjmują czynsz wyłącznie do godziny 13, punkty usługowe do godz. 16—17, żłobki i przedszkola do godziny 17 (...). Ten stan rzeczy powoduje, że rodziny pracujące znaczną część swoich spraw osobistych załatwiają w godzinach pracy (...). Pracownik, który w ciągu dnia zmuszony został do opuszczenia stanowiska pracy, nie osiąga w zasadzie średniej wydajności, co z kolei pociąga dalsze straty. Wedle naszych przybliżonych szacunków gospodarka narodowa traci ogółem z powyższych przyczyn ok. 1 mld zł rocznie (...). Czy w chwili obecnej nie nadeszła właściwa pora, aby uporządkować i te sprawy? Wydaje się celowe przeprowadzenie analizy godzin pracy, tych wszystkich instytucji, których celem jest słuzenie i ułatwiania życia pozostałej części społeczeństwa”.

„Tygodnik Demokratyczny” wraca zaś do nienowego tematu załączników, których tak często żądają urzędy. Autorka jest zdania, iż podstawowym „za-

łącznikiem” powinien być dowód osobisty, a jeśli potrzebne są inne, to powinien o nie starać się sam urzędnik, np. w pokrewnych wydziałach. Pewne uproszczenia już wprowadzono, m. in. w Poznaniu (WRN), ale to wszystko nie wystarcza, gdyż nadal za często zmuszani jesteśmy do opuszczania miejsca pracy w pogoni za załącznikiem.

„Człowiek, który opuszcza stanowisko pracy, by biegać po urzędach i czekać w kolejkach na załączniki — czytamy w artykule — nie tylko trwoni własny czas, lecz dezorganizuje robotę zespołu, którego jest ogniwem. A ponadto staje się przyczyną niewłaściwego wykorzystywania wartościowego sprzętu (w swoim zakładzie pracy — dop. Lekt.). Jeśli jest to nauczyciel, czekają nań uczniowie, jeśli rzemieślnik — klientela, jeśli lekarz — pacjenci, jeśli majster — robotnicy, jeśli dyrektor — podwładni. Inaczej ma się rzecz z urzędnikiem. Poświęcając swój czas sprawom interesantów, zajmuje się on właśnie tym, co do niego należy. Niczego nie dezorganizuje. Jest obecny tam, gdzie jego obecność przewidziana — zgodnie ze społecznym podziałem pracy”.

LEKTOR